№ 36. Warszawa, 10 Września 1909 roku. Rok II.

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY i POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową**: Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO“ wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Żórawia 29 m. 2. Tel. 116-67.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki od g. 2 — 3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

NAJREALNIEJSZY Z REALISTÓW.

Likwidacja na całej linji, na wszystkich polach. Jedni, twórcy rodzimego przemysłu, chwytają się rozmaitych godziwych i niegodziwych środków w celu pogorszenia warunków pracy; czynią zaś to w imię dobra narodowego, w imię pomyślności *całego* społeczeństwa. Inni, twórcy i kierownicy opinji publicznej, likwidują zdobycze kulturalne w postaci szkoły polskiej również w imię dobra i szczęścia narodowego. Tym razem owemi dobrodziejami stali się stańczycy krakowscy i realiści warszawscy. Pan Ludwik Straszewicz w trzech artykułach rozwinął swoje złote myśli, które przekonać nas mają, że na zamknięciu szkół „miernych i lichych“ (których jakoby nie brak) „sprawa szkolnictwa polskiego nie straciłaby wiele, a może nie straciłaby nic.“ Dla uwypuklenia i ujaskrawienia swoich założeń, p. Straszewicz kreśli ponury obraz działalności naszej studenterji, która w swych zapędach młodzieńczych doszła już do tego, że czyni „oświatę narodu igraszką i ofiarą rewolucji“.

Od niedawna zwykło się u nas posługiwać dla żywszej argumentacji naprędce stawianemi straszakami, które nadto ilustrować mają „groźną i straszną“ robotę przeciwnego obozu. Straszakami takiemi w rękach p. Straszewicza są: bojkot polityczny, rewolucyjny, uchwały, wiece, odezwy, terror. Ażeby przedstawić groźny obraz bojkotu, publicysta realistyczny napełnia atmosferę dymem prochu, wywołuje wrzawę rewolucyjną, czyni ucho słuchacza chorobliwie wrażliwem na „rozległe” hasła i pobudki przewrotowe. Jeśli usuniemy z rozumowania p. Straszewicza owe groźne słowa i całe zwroty, odrzucimy mnóstwo wykrzykników i podkreśleń — słowem, jeśli usuniemy dekoracje — długie szpalty „Słowa“ pozostaną niemal puste. Smutne to. Albowiem, zabierając głos w tak ważnej sprawie, jaką jest szkolnictwo polskie, p. Straszewicz winien był użyć żelaznej argumentacji i sumiennie postarać się przynajmniej przedstawić stan obecny uczelni, jej braki i korzyści dla młodego pokolenia, a wraz z niem dla całego społeczeństwa. „Mądrość nakazuje współdziałać sile rzeczy, bo to przyśpiesza tempo postępu, oszczędza pracy i cier-

pień". Ta sama mądrość dyktuje p. Straszewiczowi projekt zamknięcia szkół „marnych i lichych", a zamknięcie ich ma oszczędzić nam „pracy i cierpień." Gdybyśmy chcieli konsekwentnie zastosować tę receptę realistyczną, należałoby odrazu wyrzec się szkolnictwa polskiego, albowiem wszystkie nasze uczelnie, które powstały w niesłychanie trudnych warunkach politycznych, były z początku „marne i liche". Wówczas oszczędzilibyśmy sobie wiele „pracy i cierpień", a przedewszystkiem p. Straszewiczowi, gdyż nie miałby potrzeby pisać obecnie w tej sprawie artykułów.

Dla ludzi, uznających rzeczywistą potrzebę szkolnictwa polskiego, sprawa ta przedstawiać się może tylko w ten sposób, że koniecznem jest drogą ciągłych i największych wysiłków dążyć systematycznie do podniesienia młodych uczelni i zapewnienia im trwałego bytu. Nie należy natomiast zwalniać społeczeństwa od jego *najelementarniejszych obowiązków*, nie można z jakichkolwiek bądź powodów oszczędzać mu pracy wówczas, kiedy chodzi o *budowę najważniejszych podstaw* jego bytu i przyszłości. p. Straszewicz zaś rozwiązuje zadanie piewszorzędnej wagi w ten sposób, że zaleca zamknięcie większości szkół polskich i przez to samo zachęca społeczeństwo do bezczynności, wzbudza w niem wiarę w *force majeure*, która ukoić ma cierpienia i usunąć wszelkie troski.

Tem śmielej p. Straszewicz wytknął taką zasadę, gdyż według niego „lud nasz nie jest zdolny do żadnej walki społecznej". Jest to wieczna droga odwrotu dla ludzi małodusznych, nie wierzących ani we własne siły, ani w siły swego narodu. Ci sami jednak ludzie wówczas, gdy w ognisku ofiarnej walki społecznej upieką się kasztany, chętnie z podniesioną przyłbicą i gromkiemi frazesami na ustach o szczytnej przyszłości i chwale narodowej — coprędzej dla siebie odgrzebują je z popiołu.

P. Straszewicz, jako główny apologista „trzeźwej idei realistycznej", nie mógł nie poddać się prawom społecznym, które w tym wypadku prowadzą do kresu rozwoju, do zamknięcia szkoły polskiej. Dla innych mniej „trzeźwych", polityków uznających twórcze siły ludu, poznawanie praw społecznych nie zmusza do poddawania się im, lecz przeciwnie, skłania do celowego kontynuowania pracy i walki przy koniecznym jedynie nakładzie sił i ofiar. Ci ludzie nie wróżą z gwiazd przyszłości społeczeństw, nie opierają swych nadziei na cudzej dobrej woli i nie oszczędzają sobie „pracy i cierpień", jeśli tego wymaga dobro podjętej sprawy.

P. Straszewicz jest innego zdania, wręcz przeciwnego, poczytuje to za kłamstwa i zbrodnie, i twierdzi ciągle na znaną modłę: „trzeba *kołatać* o zmianę" (do wrót niebieskich). Przypomina nam to ową starą bezzębną dewotkę, która w głębokiem skupieniu wciąż szepce pacierze różańca, i nieruszając się z miejsca, uporczywie czeka po dzień dzisiejszy — co czasy przyniosą...

Henryk Lukrec.

NA WIDNOKRĘGU POLITYCZNYM.

Strajk powszechny w Szwecji trwa nadal. Cztery tygodnie minęło już od chwili, gdy trzystutysięczna masa na wezwanie swych organizacji zawiesiła pracę i tłumnie opuściła warsztaty i fabryki. Długa, zacięta walka pociągnęła już za sobą liczne ofiary, spowodowała ruinę wielu drobniejszych przemysłowców, wycieńczyła dziesiątki tysięcy robotników. Przedsiębiorcy składają ofiary w gotówce, robotnicy jednak poświęcają zdrowie i życie, gdyż w najlepszym

EDGAR POE.

BECZKA AMONTIGLIADO.

Cierpliwie znosiłem od niego niezliczone krzywdy... Ale gdy dopuścił się względem mnie ostatniej zniewagi, która okryła mnie niezmazaną hańbą, pobłażliwość moja się wyczerpała.

Poprzysiągłem zemstę.

Kto zna bliżej moje usposobienie, łatwo odgadnie, że umiałem zręcznie zataić w głębi duszy groźny mój zamiar. Postanowiłem zemścić się. Przytem w taki sposób, aby siebie nie narazić na żadne niebezpieczeństwo. Należało nietylko ukarać—ale nadto ukarać bezkarnie. Krzywda nie jest powetowana, gdy mściciel podlega odwetowi. I wtedy także nie jest powetowana, gdy ten, kto ją wyrządził, nie wie, czyja dłoń wymierza mu cios zemsty.

Będąc skądinąd człowiekiem w całem znaczeniu tego słowa, bez zarzutu, miał Fortunato jedną słabą stronę. Lubił nad miarę wino, którego mniemał być niepospolitym znawcą. Pociąg do wina jest nader rzadkiem u Włochów zjawiskiem. Fortunato stanowił wyjątek... W dodatku, gruntownie był przekonany, że zna się na starem winie. Co mnie się tyczy, mogłem z nim śmiało na tem polu się mierzyć. Znałem się wybornie na winach włoskich, które kupowałem przy każdej nadarzonej sposobności, zaopatrując moją piwnicę.

Z przyjacielem moim spotkałem się pod sam wieczór, kiedy karnawał dobiegał już do punktu kulminacyjnego. Powitał mnie z niesłychanym zapałem i tak szczerą życzliwością, jak gdyby mi nigdy nic złego nie zrobił. Zauważyłem, że już sobie nieco podchmielił. Był ubrany w błazeński kraciasty strój, szczelnie obciskający jego postać, a na głowie miał kapturek z dzwoneczkami. Spotkanie z nim wprawiło mię w taką radość, że uściskom naszym nie było końca...

— Co za szczęście, drogi Fortunato, że cię spotykam! — zawołałem. — Wyśmienicie dziś wyglądasz! Ale, ale... czy wiesz, przysłano mi beczkę wina. Podobno Amontigliado. Ale mnie autentyczność jego wydaje się podejrzaną.

— Co?.. Amontigliado?.. Całą beczkę?.. Serjo?..

razie, w razie zupełnej wygranej nawet czeka ich długie borykanie się z nędzą. A jednak walka trwa z niebywałym w dziejach ruchu robotniczego napięciem. Po czterech tygodniach strajku zaledwie 10% robotników powróciło do pracy i ta drobna garstka należy do organizacji „żółtych", to znaczy tych, które tylko chwilowo, chcąc dać wyraz sympatji dla robotników przystąpiły do strajku. Jest to owoc doskonałej organizacji, znakomitego wyszkolenia i wychowania mas zorganizowanych.

Rząd szwecki już dawno opuścił zajęte na początku stanowisko neutralne i bynajmniej nie kryje się ze swemi sympatjami dla przedsiębiorców. Na wezwanie prasy niezależnej od przedsiębiorców, oraz publiczności, której strajk zaczyna dopiekać, aby wziął na siebie rolę pojednawcy, rząd odpowiada odmownie. Robotnicy — powiada — walczą nie z przedsiębiorcami lecz z całym ustrojem gospodarczym, z państwem rząd wobec tego może wobec nich zająć tylko jedno stanowisko — stanowisko strony przeciwnej. Jeśli robotnicy Szwecji dotychczas zamierzali walczyć tylko z lokautyzującymi przedsiębiorcami, to teraz istotnie przeniosą swoją walkę na teren szerszy, na cały ustrój społeczny. Zresztą robotnikom szweckim nigdy nie brakło świadomości klasowej — organizacja zawodowa jest tam ściśle spojona z organizacją polityczną proletarjatu i przywódcy ruchu zawodowego stoją jednocześnie na czele partji socjalistycznej.

Szczegół charakterystyczny. Przedsiębiorcy również niezadowoleni są z rządu. Na żądanie organizacji robotniczych rząd zawiesił na czas strajku sprzedaż napojów wyskokowych (Szwecja posiada monopol wódczany). Skutkiem tego nietylko zachowany został pełen godności i powagi spokój w szeregach robotniczych, ale nadto zachowana została znaczna część drobnych oszczędności robotniczych, które służą teraz znakomitą bronią w rękach wygłodzonych bezrobociem robotników.

Tymczasem przedsiębiorcy wyobrażali sobie strajk w ten sposób: pierwszego dnia robotnicy upiją się, drugiego wywołają po pijanemu zaburzenia uliczne, sprowokują zbrojną interwencję policji, trzeciego zdziesiątkowani aresztami i kulami, pozbawieni zupełnie środków życia, powrócą do pracy.

Ten sielankowy sen popsuł im rząd... I co jest najpewniejsza, że prasa kapitalistyczna uprawiająca ideowy alkoholizm, jak n. p. angielski „Times" podobnież się zapatruje: cokolwiek zadużo umiarkowania. Zadużo...

Tymczasem nietylko że pieniężne oszczędności nie zostały przepite, ale składki zawodów nie biorących udziału w strajku wpływają nader regularnie, niemniej wytrwale nadsyłają zapomogi organizacje innych krajów, wreszcie i to jest ciekawe znaczne zapomogi i to regularnie co tydzień nadsyłają żołnierze armji i floty każdorazowo zaznaczając nazwę półku lub statku...

K o n f e r e n c j a m i ę d z y n a r o d o w a s e k r e t a r z y o r g a n i z a c j i z a w o d o w y c h odbyła się w tych dniach w Paryżu, wzięły w niej udział — z wyjątkiem Rosji oraz Szwecji, której organizacja zbyt jest w chwili obecnej zaabsorbowana zatargiem, — przedstawiciele organizacji zawodowych całego świata.

Międzynarodowy sekretarjat pracy stanowi jądro przyszłej międzynarodowej organizacji zawodowej, będącej dotychczas jeszcze marzeniem tylko. Międzynarodowa centralna organizacja związkowa kierująca ruchem zawodowym całego świata, regulująca warunki i rynki pracy — to ideał przyszłości. Dotychczas nawet w dziedzinie politycznej, gdzie międzynarodówka posiada już tradycję, niedaleko się posunięto na tej drodze. Jakkolwiek socjalistyczna partja Francji zwie się „sekcją francuską międzynarodówki robotniczej", to jednak międzynarodówka ta przejawia się conajwyżej w dorywczych manifestacjach oraz kongresach mających raczej agitacyjne niż praktyczne znaczenie. Tem trudniej przedstawia się sprawa międzynarodowego scentralizowania ruchu na terenie zawodowym. Odrębne warunki gospodarcze rozmaitych krajów, właściwości odmienne rozmaitych krajowych organizacji zawodowych, tradycje i nałogi, z któremi trudno zerwać, czynią zjednoczenie narazie niemożliwem. Conajwyżej wymienić można kilka faktów, jak n. p. porozumienie się organizacji duńskiej i angielskiej co do rynku pracy, porozumienie się rozmaitych organizacji za pośrednictwem sekretarjatu międzynarodowego co do zatamowania napływu łamistrajków na miejsce zatargu. Jako funkcję stałą i nadzwyczaj pożyteczną należy wymienić informacyjną działalność sekretarjatu międzynarodowego powiadamiającego wszystkie nale-

---

Człowieku, i ty tak spokojnie wypowiadasz tę wiadomość w chwili gdy karnawał u samego zenitu?

— Powtarzam, że wydaje mi się podejrzanem. Obawiam się, czy kupując nie palnąłem głupstwa. Nie poradziwszy się uprzednio ciebie, zapłaciłem za nie, jak za istotne amontigliado. Ale nie mogłem cię nigdzie znaleźć. Z drugiej zaś strony, nie chciałem stracić sposobności...

Fortunatowi oczy błyszczały.

— Amontigliado!

— Nic jeszcze pewnego.

— Amontigliado!

— Trzeba dopiero sprawdzić.

— Amontigliado!

— Załuję, że jesteś zajęty. Ale udam się do Lucesi'ego. Wytrawna sztuka! Nie wywieść go w pole.., On rozstrzygnie moją wątpliwość. Do widzenia!

Fortunato schwycił mię za rękę.

— Lucesi nie odróżni amontigliado od xeresu!

— Doprawdy? A jednak niektórzy, naturalnie głupcy, utrzymują, że on jest niegorszym znawcą win od ciebie.

— Rzecz postanowiona. Idziemy.

— Dokąd?

— Do twoich piwnic.

— Ależ... za nic w świecie. Nie chcę nadużywać twojej życzliwości. Porywać cię z wiru karnawałowego, w chwili gdy tak wybornie się bawisz. Nigdy!.. Lucesi...

— Nie mam tu nic do roboty. Idziemy.

— Nie, nie, kochany przyjacielu, pod żadnym warunkiem. Dostrzegam, żeś uległ liekkiemu przeziębieniu. W piwnicach niesłychana wilgoć. Całe ściany pokryte saletrą.

— Głupstwo. Pójdziemy. Bierz licho przeziębienie. Daję głowę, że cię oszukano. Co zaś do Lucesi'ego, to wierzaj mi, że on stanowczo nie umie odróżnić xeresu od amontigliado.

Z temi słowy Fortunato ujął mię pod ramię i pociągnął za sobą w stronę mego palazzo. Tak mu było śpieszno, że ledwie dał mi czas włożyć czarną jedwabną maskę i zawinąć się szczelnie w płaszcz.

W domu nie było nikogo ze służby. Wszyscy udali się na zabawę karnawałową. Zapowiedziawszy, że powrócę dopiero nad samem ranem, surowo im zaleciłem, ażeby nie oddalali się na krok z pałacu. Wiedziałem wybornie, że to rozporządzenie aż nadto wystarczy, by cała służalcza czereda rozbiegła się jak tylko wyjdę za próg.

żące doń organizacje o wszystkich zatargach na całej kuli ziemskiej, o zmianach zachodzących w skali płac roboczych i długości pracy etc. Bardziej praktycznemi sprawami zajmują się kongresy międzynarodowe poszczególnych zawodów, jak n. p. kongresy robotników przemysłu włóknistego, kongresy górników, kolejowców i t. p.

Kongres tegoroczny 9-ty z rzędu różnił się od poprzednich, zarówno składem, jak charakterem obrad. Po pierwsze brał w nim udział po raz pierwszy przedstawiciel powszechnego zjednoczenia związków stanów zjednoczonych znakomity Gompers, powtóre znaleźli się na kongresie po wielu latach przerwy sekretarze francuskiej konfederacji pracy. Amerykańskie zjednoczenie do sekretarjatu międzynarodowego nie należy, nie cieszy się ono szacunkiem wśród organizacji innych krajów. Praktyczny zmysł ich, poziomość ich dążeń, kompromitacja samego Gompersa w walce politycznej na korzyść wrogiej robotnikom partji demokratycznej — wszystko to bardzo chłodno usposabiało delegatów innych krajów do organizacji amerykańskiej. Co do Francuzów, to domagali się oni postawienia na porządek dzienny spraw następujących: strajk powszechny, antimilitaryzm, ośmiogodzinny dzień roboczy — i od tego porządku dziennego uzależnili swój udział. Konferencje odmówiły jednak ze względu na polityczny charakter pierwszych dwóch spraw oraz na nieaktualność trzeciej. Tym razem sekretarze konfederacji otrzymali mandat od kongresu francuskiej organizacji wniesienia na porządek dzienny sprawy kongresów międzynarodowych i wzięcia udziału w konfederacji.

Ale właśnie udział francuskiej i amerykańskiej organizacji różniących się pod względem metody od wszystkich innych, sprowadził konferencję z torów praktycznych, wywołał debaty nad przewagą rzomaitych metod i wreszcie zamienił konferencję zawodową na dyskusję polityczną. Taki był cel, jeśli nie Gompersa, to delegatów francuskich. Ich propozycja zwoływania kongresów międzynarodowych prowadzi najwidoczniej do odebrania organizacji politycznej monopolu międzynarodowej reprezentacji proletarjatu. Ale tem zazdrośniej strzegli tego monopolu przedstawiciele innych krajów. Wszędzie bowiem, nie wyłączając Anglji, przedstawiciele związków zawodowych, reprezentują jednocześnie partje socjalistyczne w parlamencie. Wszędzie organizacja zawodowa jest ściśle spojona z organizacją partyjną — jeśli nie oficjalnie, jak w Belgji, Szwecji, a nawet w Anglji, to nieoficjalnie, jak w Niemczech, Austrji, Włoszech (we Włoszech istnieją zrzędu dwie organizacje). I najwidoczniej uważają one za stosowniejsze powierzenie międzynarodowej organizacji proletarjatu, jako całości partji socjalistycznej. Ale gdzie pozostaną wówczas syndykaliści francuscy, włoscy, hiszpańscy, holenderscy?

Propozycja Gompersa sprowadza się do stworzenia międzynarodowej organizacji zawodowej. Stawia on sobie to samo zadanie co Francuzi, ale bardziej pewny siebie stawia on je otwarcie: „Amerykanie nie interesują się kwestjami akademickiemi, stawiają sprawę praktycznie: sekretarjat międzynarodowy nie posiada żadnych atrybucji określonych, należy stworzyć organizację międzynarodową, opartą na starych podstawach". Jest to propozycja amerykańskiej federacji pracy.

I Gompers, jakgdyby czyniąc ustępstwo zgromadzonym rewolucjonistom dodaje: „Jesteśmy ruchem czynnym i zaczepnym, zajmujemy się przedewszystkiem sprawami praktycznemi, nie zapominając jednak o całkowitem wyzwoleniu proletarjatu. Zjednoczenie międzynarodowe przyczynia się do tego."

Gompersowi nikt nie wierzy, ale nie mniej oświadczenie jego czyni wrażenie: i w Ameryce coś się zmienia i kongres „przyjmując przychylnie" propozycję przechodzi do porządku dziennego, natomiast Francuzi, widząc się w mniejszości wycofują swój wniosek.

Wreszcie dopiero na trzeci dzień konferencja przystępuje do spraw zawodowych, choć i tym razem z częstemi przerwami i zboczeniami na teren polityczny.

Ciekawą i ważną sprawą jest prześladowanie cudzoziemców-robotników w Prusach, sprawą interesującą robotników polskich.

Płacą oni przy przejściu granicy 6 franków 50 c., nadto muszą wykupić kartę pobytu za 3 marki, nadto są o tyle tylko tolerowani o ile mogą dowieść, że mają pracę, w przeciwnym razie zmuszeni są opuścić kraj. Jest to doskonały sposób fabrykowania łamistrajków. Legien proponuje tedy w imieniu organizacji niemieckiej skomunikowanie się z organizacją parlamentarną celem wywarcia presji na rząd pruski za pomocą dyplomacji. We Włoszech, gdzie sprawę tę podnoszono już, minister spraw zagranicznych zgodził się, iż postępowanie to jest sprzeczne z traktatami i przyrzekł w razie odmowy rządu pruskiego

---

W krużganku wyjąłem ze świeczników dwie woskowe świece i, wręczywszy jedną memu gościowi, powiodłem go przez cały szereg komnat ku sklepieniu, prowadzącemu do podziemi, w których znajdowała się piwnica. Długiemi, krętemi schodami, zacząłem spuszczać się na dół, prosząc towarzysza, aby jak najostrożniej dążył za mną.

Zeszliśmy nareszcie i stanęliśmy na wilgotnym gruncie Montresorskich katakumb.

Mój przyjaciel posuwał się chwiejnym krokiem, dzwoniąc po drodze dzwonkami swej czapki.

— Beczka?—zagadnął.

— Umieszczona nieco dalej—odpowiedziałem,— ale racz zwrócić uwagę na te białe szkliste nici, które na podobieństwo pajęczyny czepiają się ścian tych ponurych jaskiń.

Zwróciwszy twarz, spojrzał na mnie zamglonemi oczyma, jasno świadczącemi, w jakim stopniu już był pijany.

— Saletra?—zapytał nareszcie.

Saletra, — odpowiedziałem. — Dawno masz ten kaszel?

— Khe! khe! khe! khe! khe! khe!

Mój biedny przyjaciel dusił się od kaszlu i w ciągu kilku minut nie mógł zdobyć się na odpowiedź.

— To nic!—powiedział nakoniec.

— Wróćmy się—oświadczyłem,—twoje zdrowie stanowczo dla mnie cenniejsze od wina. Jesteś człowiekiem bogatym, poważanym, kochanym, dla wielu potrzebnym. Jesteś szczęśliwym, jak i ja niegdyś byłem szczęśliwy. Nie troszcz się o autentyczność mego wina. Głupstwo! Wracajmy! Nie chcę brać na siebie odpowiedzialności w razie gdybyś zachorował wskutek tej wyprawy. Zresztą i Lucesi może...

— Dość!—przerwał mi,—śmiej się z kaszlu. Nie umrę przecie z niego.

— Hm, zapewne, — odparłem. Nie mam bynajmizj zamiaru straszyć cię, ale w każdym razie ostrożność nie wadzi. Wreszcie... skoro się upierasz, niech tak będzie. Ale pozwól, niechaj łyk tego miodku zabezpieczy cię od działania wilgoci.

Z temi słowy utrąciłem szyjkę butelki, którą po drodze wyciągnąłem z całego szeregu jej siostrzyc, rozłożonych w długich rzędach na ziemi.

— Pij,—rzekłem, podając mu wino.

Potrząsnął butelką. Następnie poufale kiwnął mi głową. Wszystkie dzwonki jego błazeńskiej czapki piskliwie zabrzęczały. Przytknął szyjkę do ust.

— Piję,—powiedział,—za tych, którzy tu są pogrzebani.

przedłożyć sprawę trybunałowi w Haadze. Dobrze. Ale co mają zrobić syndykaliści francuscy, którzy są w niezgodzie z reprezentacją parlamentarną? („Nie, nie są z nią w niezgodzie — nie znają jej wcale“—Jachaux). Sekretarjat zawodowy zwróci się bezpośrednio do partji socjalistycznej Francji.

Daje to powód do długiej dyskusji na temat celowości akcji parlamentarnej i akcji bezpośredniej.

Omówiono gruntownie sprawę importacji żółtych, sprawę reglamentacji pracy domowej (chałupnictwa) i walki z nią, wreszcie sprawę wprowadzenia języka esperanto. Jest to jedyny wniosek Francuzów przyjęty względnie przychylnie. Oczywiście, nie mamy możności zdania sprawy z obrad tajnych konferencji dotyczących zamierzonych na rok przyszły walk o polepszenie bytu robotników w rozmaitych zawodach, o skrócenie dnia pracy.

Konferencja wynagrodziła jednak delegacji francuskiej przykre chwile dyskusji: na zorganizowanym przez Francuzów (po zakończeniu posiedzeń) wielkim wiecu „Przeciw Wojnie" przemawiali wszyscy najwybitniejsi delegaci. Okazało się, że wszyscy są antimilitarystami — quand même...

Almar.

DETLEV VON LILIENCRON.

Dnia 23 lipca zmarł w Alt-Rahlstedt pod Hamburgiem jeden z najulubieńszych poetów niemieckich.*) Skonał po krótkiej, kilkodniowej chorobie, śmiercią szybką, jak wojak ginący wśród zawieruchy bojowej, którą tak lubił opiewać w swych dziarskich, tętniących zwrotkach.

„Dlaczego zostawiają mnie samego na polu walki?“ były jego ostatnie słowa. W przedśmiertnem omdleniu przypomniał mu się czas, gdy go niegdyś, jako młodego oficera, zapomniano wśród rannych i trupów na pobojowisku. Rzecz bardzo charakterystyczna dla poety, który przez całe życie zachował w sobie żołnierską duszę i z życiem rozstawał się jak z placem wiecznego boju.

Sławę Liliencrona wyniósł do góry na swych spienionych falach okres burzy i parcia w najnowszej literaturze niemieckiej, krótkotrwała doba lat 80-tych. W Niemczech rodził się naturalizm, ten najdojrzalszy wykwit literatury epoki kapitalistycznej. Wydał go na świat rozwój ekonomiczny bismarkowskich Niemiec po zwycięskich wojnach siódmego dziesięciolecia zeszłego wieku. Prąd realistyczno-naturalistyczny był apoteozą wielkiej i bogatej rzeczywistości, apoteozą, której teorji i form literackich dostarczył przedewszystkiem naturalizm francuski z Zolą na czele. Jak jednak wszystkie ideologiczne i polityczne formy rewolucyjnego rozwoju burżuazyjnego w Niemczech były tylko bladem odbiciem żywych pierwowzorów francuskich, jak rewolucja niemiecka była tylko karykaturą wielkiej rewolucji francuskiej, tak i niemiecki naturalizm przedstawiał tylko efemeryczny cień zdrowego i krzepkiego naturalizmu francuskiego i nie wydał ze swych szeregów ani jednej bodaj gwiazdy pierwszej wielkości, jeśli nie liczyć Gerharda Hauptmanna, którego talent tak szybko zszarzał i uwiądł. Nic więc dziwnego, że gdy wybłysnął nad horyzontem talent poetycki Liliencrona, pełen samorzutnego realizmu, naturaliści natychmiast okrzyknęli go swoim, chociaż w gruncie rzeczy niewiele miał on z niemi wspólnego.

Liliencron nie wyrósł w żadnej szkole literackiej, motywów lirycznych nie nasunęły mu żadne obce oddziaływania. Nie należał on do poetów, których rodzi otaczająca atmosfera literacka, którzy impuls do twórczości biorą z cudzej poezji, a tematy wyczytują z setek książek, kładących się na mózg, jak chmury, z różnych stron wiatrami przyniesione. Jego poezje zrodziło samo życie. Liliencron zaczął pisać bardzo późno; gdy pierwszy wiersz ułożył, liczył już lat trzydzieści pięć. Przedtem zdążył już przejść niezliczone a zmienne koleje, w których nieraz zaznał niedoli. Służył w armji pruskiej i doszedł do stopnia porucznika. Zwiedził siedem prowincji i siedemnaście garnizonów, zdobywając bogaty materjał obserwacyjny. Brał udział w kampanjach austryjackiej i francuskiej, przyczem w obu otrzymał rany. Potem, opuściwszy służbę w czasie pokoju, pojechał szukać chleba w Ameryce, ale szczęście mu nie sprzyjało; musiał wrócić do kraju, gdzie otrzymał posadę urzędnika w Szlezwig-

*) Fryderyk baron von Liliencron (pseud. Detlev v. L.) urodz. w r. 1844 w Kilonji. Z utworów jego najbardziej znana „Adjutantenritte“ liryki, „Opowiadania wojenne“, „Poggfred“ i inne.

— A ja piję na intencję twego długiego życia! Ujął mię znowu pod ramię i podążyliśmy dalej.

— Rozległe katakumby, — zauważył.

— Wszak i ród Montresarów był liczny, — odrzekłem.

— Zapomniałem jaki masz herb?

— Olbrzymia ludzka noga na polu lazurowem. Noga miażdży olbrzymią żmiję, która żądłem wpiła się w piętę.

— A dewiza?

— Nemo me impune lacessit.

— Aha! — powiedział.

Od wina zaiskrzyły mu się oczy. Dzwonki brzęczały za każdem poruszeniem głowy. Miód zaczął rozgrzewać i moją fantazję. Po obu stronach przejścia leżały naprzemian z beczkami wina stosy kości; przedzierając się przez nie, dotarliśmy do najbardziej oddalonej części katakumb. Zatrzymałem się znowu, chwytając Fortunata za ramię.

— Spojrzyj na saletrę,—powiedziałem,—spojrzyj, jak za każdym naszym krokiem zwiększa się stopniowo jej ilość. Na podobieństwo mchu czepia się ona po całych sklepieniach. Znajdujemy się obecnie pod korytem rzeki. Wilgoć przejmująca spływa kroplami na ludzkie kości... Wróćmy się, póki czas. Twój kaszel...

— Nic nie znaczy,—odparł,—idźmy dalej. Tylko wprzódy, jeżeli nic nie masz przeciwko temu, łykniemy nieco miodku.

Tym razem podałem mu butelkę starą, grubo obrosłą mchem i pleśnią. Odtrącona szyjka z brzękiem upadła na ziemię. Wychylił duszkiem złocisty napój. Oczy zaiskrzyły mu się dzikim blaskiem. Roześmiał się i podrzucił wypróżnioną butelkę do góry. Ofiarowałem mu ramię. Oparł się na niem całym ciężarem swego ciała.

Poszliśmy dalej. Przebywszy cały szereg wązkich korytarzy o nizkich sklepieniach, spuściliśmy się na dół. Krocząc coraz dalej, znowu zagłębiliśmy się jeszcze niżej i nakoniec dotarliśmy do wydrążonego w ziemi sklepu, w którego stęchłem, ciężkiem, zepsutem powietrzu pochodnie nasze raczej tliły się niż płonęły.

W najbardziej oddalonym kącie czerniało wejście do innego, nieco mniejszego sklepu. Wzdłuż ścian były ułożone rzędami ludzkie kości, których stosy wznosiły się do samego sklepienia, jak w paryzkich katakumbach.

Holsztynie. Tutaj dopiero, na zapadłej prowincji, zakopany w małej mieścinie, Liliencron poczuł w sobie poetę. W r. 1884 wyszedł pierwszy zbiorek jego wierszy „Adjutantenritte", który zrazu zwrócił na niego uwagę „młodych Niemec" czytających i piszących.

Ale sława powoli tylko przychodzi, a jeszcze powolniej powodzenie pieniężne. Już jako poeta, Liliencron przeżył wiele chwil, które innego przejęłyby nawskroś goryczą. Egzekutor sądowy był częstym w jego domu gościem; trzy razy przyjaciele urządzali na rzecz poety publiczne składki, które za każdym razem przynosiły śmiesznie małe sumy. Przytem poezja jego, nieraz swawolna i hulaszcza, ściągała nań niejednokrotnie gromy z ust przysięgłych obrońców moralności, co nie przyczyniało się bynajmniej do poprawy jego stanu materjalnego. Coprawda Liliencron bezkarnie krzywdzić się nie dawał i napastnicy, a wraz z niemi i całe zakostniałe w konwenansach społeczeństwo, nieraz potężne cięgi obrywali w zjadliwych jego satyrach (np. Mecenas). Tem niemniej kłopotliwe to było życie, które doprowadziło raz nawet do tego, że płodny poeta w ciągu okresu kilkoletniego nic prawie nie napisał. Troski materjalne wysuszyły źródła słonecznej jego poezji. „Tak, tłuc się po świecie aż do śmierci jako prosty liryk niemiecki—to bardzo, bardzo nudne. Wogóle każdy zapalacz latarni stoi dla mnie wyżej od wierszokletv. Wszyscy Niemcy piszą wiersze, żaden Niemiec ich nie czyta".

Liliencron jednak przetrwał. Los dał mu długie życie i pozwolił doczekać czasów szczęśliwszych. Przyszła i sława pierwszego liryka Niemiec i lepsze warunki materjalne i — pochwała z ust samego cesarza Wilhelma za poezje patrjotyczno-monarchiczne. Liliencron należy do szczęśliwców, którzy już za życia otrzymali laury conajmniej odpowiednie do zasługi. Jego 60-letni jubileusz, święcony w r. 1904, wykazał już, jak szeroką popularnością i sympatją cieszył się poeta — poczęści dzięki wielkiej dobroci i szczerości w stosunkach osobistych. Uniwersytet w Kilonji—jego mieście rodzinnem — obdarzył go nawet tytułem „doktora honorowego"; zaszczyt może trochę nieodpowiedni dla Liliencrona, którego w żadnym razie nie można było nazwać uczonym.

Zawiódłby się srodze, ktoby zechciał w poezji Liliencrona doszukiwać się jakiegokolwiek podkładu filozoficznego. Jego utwory, starannie wygładzane, opracowywane i przerabiane, nigdy nie były przemyślane. Liliencron nie silił się na to, co nie leżało w jego naturze. Że zaś sam on zdawał sobie jasno sprawę z istoty swego talentu, o tem świadczy np. cytata z Goethego, którą przytacza w jednej ze swych licznych dedykacji.

„Wogóle nie zwykłem nigdy, jako poeta, dążyć do ucieleśnienia czegoś abstrakcyjnego. Odczuwałem w głębi swej istoty wrażenia i to wrażenia zmysłowe, radosne, barwne, wielopostaciowe, które mi dawała żywa wyobraźnia, i jako poeta nie miałem nic innego do czynienia, jak tylko wyobrażenia te i wrażenia zaokrąglać i kształtować artystycznie w swej duszy i unaoczniać je zapomocą żywego przedstawienia, — tak, aby inni czytając lub słuchając mych utworów, doświadczali tych samych wrażeń".

Ponieważ zaś poeta był do szpiku kości oficerem armji pruskiej, ponieważ wrażenia wojenne były jego najsilniejszemi wrażeniami, doświadczanemi zresztą w latach młodzieńczej wrażliwości, znajdujemy je więc w mnóstwie jego utworów — opowiadaniach i wierszach — zwłaszcza z wcześniejszej doby. Tętni tam życie wojenne, walą armaty i pobłyskują bagnety, a niekiedy na zmianę zjawiają się akcesorja średniowieczne, miecze, tarcze i szyszaki z pióropuszami. Baronowska, szlachecka krew Liliencrona i własny jego zawód oficerski składają się na to, by uczynić z niego poetę szału bojowego i rycerskiego uniesienia. Jeden z krytyków niemieckich, łącząc w jedno strzeliste słowa Nietzschego i Andrejewa, nazywa Liliencrona śmiejącym się lwem o czerwonym śmiechu. To pewna, że szumna i zbrojna epoka żelaznego kanclerza znalazła w nim godnego piewcę. Nie wie on nic o okropnych stronach wojny, o grozie pobojowiska, o wlekącej się za rydwanami wojowników nędzy miljonów; on jest zawsze w pierwszym szeregu zwycięzców, gdzie sztandary furczą jak orły, kule poświstują zuchowato a wystrzały pukają, jak korki od szampana. „Proporzec, widoczny wysoko ponad tańczącym odmętem, chwyta wieńce laurowe, które mu na złocone ostrze rzuca z uśmiechem bogini zwycięstwa". W „Opowiadaniach wojennych" spotyka się nieraz straszne obrazy, bo autor zbyt wiele czerpie z rzeczywistości, aby mógł wszystko przedstawiać w słonecznych barwach. Ale są to tylko epizody, nad któremi Liliencron przechodzi — ba, przelatuje kawaleryjskim galopem

---

W taki sam sposób były udekorowane trzy ściany jaskini, do której właśnie wkroczyliśmy. Czwarta ściana była wolna od kości, które zgarnięte razem tworzyły pokaźny stos na ziemi. W ścianie owej uwidocznionej przez to usunięcie kości, wyłaniało się przy słabem świetle pochodni zagłębienie, rodzaj niszy, mającej ze cztery stopy głębokości, trzy szerokości oraz sześć lub siedm wysokości. Architektura tego zagłębienia świadczyła, że było ono wydrążone bez żadnego określonego celu i, stanowiąc jedynie pustą przestrzeń pomiędzy dwoma potężnemi podporami sklepienia katakumb, graniczyło z masą granitu, tworzącego nieprzebitą ścianę dokoła całego podziemia.

Pragnąc zapuścić wzrok do wnętrza tej ponurej niszy, Fortunato podniósł w górę swą blado tlejącą świecę. Ale usiłowania jego były daremne: za słabe oświetlenie nie dozwoliło nam ogarnąć granic pieczary.

— Stanęliśmy u kresu. Tam oto stoi beczka amontigliado, — rzekłem. — Pozwól, proszę. Co zaś do Lucesi'ego...

— Ależ to skończony głupiec. Zna się tyle na winie, co ślepiec na barwach! — przerwał mój przyjaciel.

Wkroczył do niszy chwiejnym krokiem. Szedłem tuż za nim, tłumiąc oddech. Szalona, dzika radość rozsadzała mi piersi. Jeszcze dwa kroki naprzód i uderzył czołem o przeciwległą ścianę.

Spostrzegłszy, że ściana tamuje mu dalszy pochód, zatrzymał się w niepewności.

Wtedy...

Wtedy rzuciłem się na niego gwałtownie i w mgnieniu oka przykułem go do granitowej skały.

Sterczały w niej dwa potężne żelazne skoble poziomo na odległości dwóch stóp jeden od drugiego. Przy jednym wisiał krótki łańcuch, a do drugiego była przymocowana wisząca kłódka. Owinąwszy łańcuch dokoła tułowia Fortunata, błyskawicznie zakręciłem klucz w kłódce.

Fortunato tak był przerażony, że nawet nie pomyślał o stawieniu oporu. Wyciągnąwszy klucz z kłódki, opuściłem niszę.

— Kochany Fortunato, — rzekłem spokojnie, — dotknij ściany dłonią, a poczujesz saletrę. Okropna wilgoć, zaprawdę. Jeszcze raz cię zaklinam: wróć się!— Co, nie chcesz? — Ha, w takim razie widzę się zniewolonym opuścić ciebie i zostawić samego. Ale zanim odejdę, uprzednio dołożę usiłowań, aby o ile możności zapewnić ci tu wygodne pomieszczenie.

— Amontigliado! — wyzionął mój przyjaciel, nie

do porządku dziennego zuchwałych ataków i zwycięskich starć. Jest on romantykiem świecącej i tryumfującej pikielhauby. Bóg z nami! i niech żyje cesarz!— takiemi leitmotivami szczęka marsowy jego wiersz.

I w innych zresztą dziedzinach Liliencron pozostaje tym samym młodym i zamaszystym porucznikiem, — w szczególności w poezji miłosnej. Udręki miłości są dlań rzeczą obcą. Umie on chwilami wydać westchnienie tęsknoty lub zamyślić się smętnie — na sześciu lub ośmiu wierszach. Natomiast im weselsze i butniejsze są jego wiersze miłosne, tem bardziej zwiększa się ich długość. Widać, że poeta lubi przebywać w sferze biwakowej miłości, zawiązywanej i zrywanej pomiędzy jednym przemarszem a drugim. O wielkiem uduchowieniu uczuć miłosnych niema tu naturalnie mowy. Uczucie jest przedewszystkiem zmysłowe. Ładna kobieta i pełna szklanka jednakowo pociągają Liliencrona i jednakowo są przez niego opiewane. Jest to rzadki obecnie w literaturze okaz poety, który tworzy nie z tęsknoty za nieznanem ziszczeniem i z poczucia niedosytu, lecz z nadmiaru sił. Jesteś niesłychanem przeciwieństwem tych, którzy *robią wiersze*, pisze do niego Piotr Altenberg. — „Jesteś prawdziwy i szlachetnie prosty, jak nikt inny, bo rzeczy nieświadome w Tobie nie mogą łudzić i mamić, gdy same się stają poezją, jak gdyby po za Twemi plecami“. Jak spontaniczna była twórczość Liliencrona, świadczy choćby ten fakt, że własne wiersze zaraz po napisaniu wylatywały mu z pamięci — częstokroć bez śladu; nieraz zaś potem, spotykając je w druku, z całą szczerością zapierał się ich autorstwa.

W całej swej twórczości Liliencron był krańcowem przeciwieństwem drugiej gwiazdy współczesnej poezji niemieckiej — refleksyjnego i pełnego erudycji Dehmla, który świadomością twórczą o całe niebo przewyższał naiwnego piewcę miecza, szklanki i dziewczyny. Liliencron żywił też dla niego głęboką cześć; tem większą, im mniej był zdolny go zrozumieć. „Z nas żyjących artystów wiersza — pisał w krótkiej autobiografji, zamieszczonej w *Gesellschaft*, — żaden nie przejdzie do potomności. Oprócz jednego tylko: Ryszarda Dehmla. Jest to moje niezłomne przekonanie".

Czy rzeczywiście Liliencron nie przejdzie do potomności, trudno rozstrzygać. W każdym razie nie ośmieliłbym się stanowczo zaprzeczyć jego niezłomnemu przekonaniu. Dziś tylko można powiedzieć, że szkoły zmarły poeta nie stworzył i nie stworzy. Z wierszy jego jeden tylko da się wysnuć nakaz: bądź sobą— i nie pnij się na wyżyny, gdzie powietrze zbyt rzadkie dla twoich płuc. Warto jednak zaznaczyć jeden ciekawy fakt. Gdy w r. 1904, w sześćdziesiątce Liliencrona, F. Böckel urządził ankietę wśród liryków niemieckich o wpływie jego poezji, żaden nie przyznał się do podlegania jego wpływom, lecz kilku z nich oświadczyło, że wiersze Liliencrona dały im podnietę do wypróbowania swych sił na niwie poetyckiej. Dziwna iroja losów: poeta samorodny, piszący jedynie pod wpływem wewnętrznego parcia, staje się bodźcem, wyzwalającym cudze zdolności, nieumiejące wybłysnąć o własnych siłach. Zamiast uczyć samodzielności swoim przykładem, pobudzać do torowania nowych dróg, samoistne talenty budzą popędy naśladowcze i oryginalnością swoją przyczyniają się do rozmnożenia tuzinkowych nieoryginalności. Tak chce logika ustroju dzisiejszego, zamieniająca płody natchnienia na towar, kupowany i sprzedawany, jak każdy inny. Nasze stosunki społeczne mają stałą dążność do kapitalizowania nowych zdobyczy i stracenia ich na dalsze, coraz bardziej masowe wytwarzanie. Świeże kwiaty polne mielą się w ten sposób na szarą mąkę literackiego szablonu. Giną—czyli idą w zapomnienie. Tylko wyjątkowo potężne talenty wytrzymują tę operację; zostają po nich rzeczy, niedające się prześladować, tryumfujące nad wszelkiemi próbami zbanalizowania. Takich jednak talentów jest coraz mniej w dzisiejszej przejściowej epoce bezkrólewia społecznego. Na każdy zaś z nich rzuca się coraz liczniejsza tłuszcza pasożytów. Dlatego dziś tak łatwo arcydzieła zmieniają się w szablony i dlatego dzisiejsza publiczność czytająca tak prędko zapomina..

Henryk S. Kamieński.

KULTURA A RUCH LUDNOŚCI.

Znakomity uczony Dr. Roesle ogłosił drukiem rezultaty swoich najnowszych badań nad śmiertelnością i urodzeniami w Europie.

Już na samym wstępie swej pracy autor podkreśla fakt znamienny, stanowiący niejako charakterysty-

---

zdoławszy dotąd jeszcze zdać sobie sprawy z tego, co się stało.

— O tak! — odparłem, — amontigliado.

To mówiąc, zanurzyłem obie ręce w wyżej wspomnianym stosie kości. Zwaliwszy je na bok, namacałem pod niemi mnóstwo ciosowych kamieni oraz rozrobionego z gliną wapna. Ująwszy równie zawczasu przygotowaną łopatkę, zacząłem spokojnie zamurowywać wejście do niszy.

Zanim zdążyłem ułożyć pierwszy rząd kamieni, Fortunato już znacznie oprzytomniał: oznajmił mi to jęk, który mię doszedł z głębi... Nie był to już jęk pijanego.

Po nim nastąpiło długie, uporczywe milczenie.

Ułożyłem starannie drugi rząd kamieni... trzeci...

Przy czwartym ozwało się gwałtowne, rozpaczliwe szamotanie i brzęk łańcucha. Brzęk trwał kilka minut...

Przerwałem moją pracę i usiadłem na stosie kości, aby w całej pełni rozkoszować się temi dźwiękami.

Kiedy brzęczenie ucichło, ponownie zabrałem się do łopatki i nie odrywając się już ani na chwilę od roboty, dokończyłem ułożenia piątego, szóstego i siódmego rzędu. Pod moją ręką wyrosła ściana dochodząca mi niemal do piersi. Wtedy znowu zatrzymałem się, wziąłem utkwioną w piasku świecę i skierowałem jej światło na stojącą w niszy postać.

Natenczas z krtani przykutego zaczęły wydzierać się tak potężne i przeraźliwe krzyki, że odskoczyłem przerażony. Groza mię ogarnęła i wstrząsnęła całym mym organizmem. Drżenie przebiegło mi po ciele. Więc obnażywszy rapir, począłem nim wodzić po wnętrzu niszy.

Ale niebawem uspokoiłem się. Namacawszy rapirem twardy i zbity materjał, z którego wykute były katakumby, upewniłem się, że nie potrzebuję niczego się obawiać.

Stanąwszy przy wzniesionym przez siebie murze, odpowiedziałem jękami na jęki tego, który za nim się miotał. Wysilałem płuca, aby jego krzyki pokryć memi krzykami. Kiedym nareszcie siłą i rozmiarami swego głosu stanowczo wziął górę nad głosem Fortunata, krzyki jego ustały.

Nastąpiła północ. Moja robota posuwała się... Skończyłem ósmy, dziewiąty i dziesiąty rząd, ułożyłem prawie cały jedenasty i ostatni. Już tylko pozostawało wsunąć jeden kamień. Osłabiony natężoną

czny moment w życiu ludzkości współczesnej. Jestto coraz bardziej się ujawniające powszechne *zmniejszenie śmiertelności*. Wszakże obok tego spadku śmiertelności, niemal równolegle z nim odbywa się w większości państw nieustanny ubytek urodzeń. Przeciętna liczba urodzeń na 1000 mieszkańców wynosi 7—8 wszakże trzeba przyjąć pod uwagę olbrzymią różnicę, istniejącą w tym względzie pomiędzy państwami zachodnio-europejskiemi, a Wschodem. Tak z tablicy przytoczonej przez Roeslego widzimy, że Rosja i Bułgarja góruje pod względem urodzeń nad Europą.

W związku z ilością urodzeń bada autor liczby zawartych ślubów małżeńskich. Na 1000 mieszkańców ludności średniej przypada ślubów:

w Bulgarji	10,0	w Francji	7,7
„ Serbji	9,9	„ Szwecji	5,8
„ Saksonji	8,4	„ Irlandji	5,2

Po znacznym spadku liczby związków małżeńskich, który zaznaczył się w ósmym lat dziesiątku zeszłego stulecia podczas przesilenia gospodarczego, — nastąpiło w większości państw powolne, a stałe wzmożenia tej liczby; które trwało aż do końca ubiegłego stulecia. Raptowny spadek ponowny daje się zauważyć dopiero w r. 1902/1903. Autor uważa, że tak raptowny spadek po stałym i znacznym wzroście musiał być spowodowany przyczynami głębokiemi a wewnętrznemi. Do takich należy bezsprzecznie znaczny upadek konjunktury handlowej i przemysłowej w okresie lat 1902—1903. Znacznie mniej dał się odczuć spadek liczby ślubów w krajach mniej uprzemysłowionych, w których przeważa ludność rolnicza. U ludów germańskich i romańskich ta „zależność ślubów małżeńskich od stosunków gospodarczych" wystąpiła bardzo wyraźnie, gdyż „w krajach tych młodzież zawiera związki małżeńskie dopiero po zapewnieniu sobie materjalnego bytu". Ztąd liczby dotyczące ślubów mają znaczenie gospodarcze i mogą być wzięte za podstawę oceny rozwoju gospodarczego danego kraju. Niskie liczby państw północnych, jak Norwegja, Szwecja, objaśnia Roesle małym rozwojem przemysłowym tych leżących na uboczu krajów; e igracją części młodzieży i t. p. Wszakże wyłania się kwestja: jeśli wysoką liczbę związków małżeńskich przypisać należy dobrobytowi, to skąd tak wysokie liczby u narodów słowiańskich? Na pytanie odpowiada Roesle: „wysokie liczby krajów słowiańskich nietyle uwarunkowane są pomyślnemi warunkami gospodarczemi, ile ubóstwem i niską stopą życiową". Nadto małżeństwa w krajach słowiańskich zawiązują się naogół w wieku bardzo młodym.

Dalej wpływa na ilość małżeństw również wychodźtwo ze wsi (rurale exodus) widać to z tablicy porównawczej małżeństw w miastach i na wsi. Ponieważ emigruje najczęściej młodzież, liczba małżeństw na wsi zmniejsza się na korzyść miasta. Na tysiąc mieszkańców, wstępuje w związki małżeńskie:

	W miastach	Na wsi
Prusy	8,9	7,6
Bawarja	8,6	7,3
Szwecja	7,9	5,5

Wyjątek stanowią i tutaj Bulgarja i Serbja, gdzie na 1000 mieszkańców jest małżeństw w Bulgarji — w miastach 7,5, na wsi — 9,5; w Serbji po 7,4. Podobnież we Francji liczba jest prawie równa: 7,4.

Podobnie, jak małżeństwa, daje się ruch urodzeń również wyprowadzić z warunków gospodarczych: spadek liczb podczas kryzysu, wzmożenie po skończeniu tegoż. Wszakże istnieje tu znaczna różnica pomiędzy rozmaitemi krajami. Tak przypada w r. 1900 na 1000 mieszkańców w Rosji 48,7 noworodków, na Węgrzech — 40,6, w Niemczech — 36,1 w Szwecji — 27,91, we Francji — 22,4.

Któż jednak powie, że wysoką liczbę urodzeń w Rosji przypisać należy dobrobytowi? Musielibyśmy, logicznie rozumując, spadek liczby urodzeń w Niemczech i Francji przypisać postępowemu zubożeniu ludności. Podczas gdy w Bulgarji w r. 1900 na 1000 mieszkańckw urodziło się 39,5 dzieci, liczba ta urosła do 40,4 w r. 1905. Natomiast spadła liczba urodzeń w Niemczech z 36,1 do 34,4, we Francji—z 22,2 do 21,2. Ztąd wyprowadza Roesle wniosek następujący: „Postęp kultury burzy w coraz to szerszych kołach ludności starą wiarę w błogosławieństwo licznej rodziny, i jednocześnie udostępnia znajomość środków zapobiegawczych". Pod tym względem Roesle najwidoczniej zgadza się z Mengerem, który różnicę urodzeń pomiędzy krajami Zachodu i Wschodu upatruje w różnicy stopnia kulturalności i dobrobytu. Sprawę ograniczenia potomstwa rozpatruje Menger ze stanowiska politycznego, twierdząc, że rozumna *„polityka płciowa"* powinna polegać na ograniczeniu produkcji rąk roboczych. Klasa robotnicza powinna w tym

---

i gorączkową pracą, podjąłem go z wysiłkiem z ziemi i do połowy wstawiłem w przeznaczone dlań miejsce...

Ale naraz z głębi niszy dał się słyszeć tak okropny śmiech, że włosy stanęły mi na głowie. Słuchałem...

— Cha! cha! cha! chi! chi! chi! Doskonały figiel! Znakomity figiel! Jakże potem uśmiejemy się z tego wszystkiego! Cha, cha, cha! O, jakże się uśmiejemy w palazzo przy lampce wina! Chi, chi, chi!

— Amontigliado! — rzekłem.

— Chi, chi, chi! chi, chi, chi! Tak, tak, przy lampce amontigliado. Ale musi już być późno, co? Signora Fortunato i przyjaciele nasi zapewne oczekują mię z niecierpliwością. Chodźmy, wracajmy co prędzej.

— Tak, — powiedziałem, — wracajmy.

Teraz śmiech przeszedł w żałosne, dziecięce niemal błaganie, w którem trudno było poznać dawny głos szlachetnie urodzonego i do rozkazów nawykłego Fortunata. Głos ten mówił:

— Przez Boga żywego, Montresorze!

— Tak, — powiedziałem, — przez Boga żywego!

Żadnej odpowiedzi. Daremnie czekałem. Zaczynałem tracić cierpliwość. Podniesionym głosem zawołałem:

— Fortunato!

Nie odezwał się. Znowu krzyknąłem:

— Fortunato!

Milczenie. Wsunąłem latarnię w pozostający jeszcze w murze otwór i upuściłem ją do wnętrza niszy. Dał się słyszeć tylko brzęk dzwoneczków. Robiło mi się niedobrze. Według wszelkiego prawdopodobieństwa zaczynała oddziaływać na mnie wilgoć katakumb.

Pośpiesznie dokończyłem swego dzieła, wsunąłem ostatni kamień w przeznaczone dlań miejsce i starannie zalepiłem. Przy świeżo wzniesionym murze narzuciłem dawny wał z ludzkich kości. W ciągu całego półwieku ani razu nie zamąciła im spokoju ręka człowiecza.

In pace requiescat!

względzie naśladować klasy posiadające, które potrafiły ograniczyć ilość swych dzieci do liczby z góry zakreślonej, i w ten sposób uwolnić się od zbytecznych ciężarów moralnych i materjalnych, nie mówiąc już o zmniejszeniu podaży rąk roboczych. Roesle stwierdza, że w gruncie rzeczy to się już dzieje: w miarę tego, jak klasy niższe podnoszą się kulturalnie, naśladują one wyższe klasy w swoich stosunkach płciowych, rozumnie ograniczając liczbę swego potomstwa.

Równolegle z postępowym spadkiem urodzeń następuje ściśle z nim związany spadek śmiertelności niemowląt. Im mniej rodzi się niemowląt, tem lepsze są warunki ich wychowania, tem większą ich otaczają rodzice pieczą. Zresztą wyższa kultura, która powoduje zmniejszenie urodzeń, sama przez się sprzyja utrzymaniu przy życiu niemowląt.

Oto kilka liczb dotyczących Prus:

	Na 100 kobiet porodów:		Na 100 urodzeń legalnych zgonów:	
	W miast.	Na wsi	W miast.	Na wsi
1891	29,7	34,7	20,3	18,7
1896	27,9	34,3	19,5	18,5
1901	26,6	33,7	18,1	17,8

Rosja wykazuje najwyższą liczbę śmiertelności, mianowicie na 1000 mieszkańców 33,8 zgonów, podczas gdy Niemcy tylko — 22,2 a w r. 1905 — 19,9, Francja tylko — 19,6.

Są to różnice kultury.

Wnioski powyższe są niewątpliwie słuszne, wszakże uogólnienie ich i nadanie zbyt wielkiej wagi jest conajmniej pośpieszne. Kultura niezawodnie wzmaga się i wraz z dobrobytem przenosi się na niższe warstwy społeczne wraz z obyczajami warstw wyższych, wszelako odbywa się to znacznie powolniej niż spadek liczby urodzin, do którego przyczynia się także w stopniu niemałym nietyle dobrobyt ile nędza.

Marjan Aleksandrowicz.

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Zygmunt Stankiewicz: „Pieśni Miłosne". Warszawa 1909 r.

Nie wątpię ani na chwilę, że p. Stankiewicz ma dobre chęci. Lecz tego rodzaju wartości poetyckie—mogą wystarczać jedynie podczas uroczystości rodzinnych. W niezależnej literaturze te chęci nie poparte innemi warunkami bytu poetyckiego—mogą być tylko—oznaką nieporozumienia jakiemu często ulegają—t. zw. młodzi „poeci"—którzy z racji dobrania kilkudziesięciu rymów—nie bez drażniącej nerwy fanfaronady drapią się na Parnas—nie wyobrażając sobie—możliwości bankructwa!

Rozwój aspiracji p. Stankiewicza znajduje się w stadjum fałszywego mniemania o powadze swego istnienia. Bezwątpienia szczerze wierzy on w swój talent poetycki chociaż w pierwszym wierszu „Do... wojując z zarzutami—przyznaje się, że może kiedyś"... dopiero będzie artystą. Jaka szkoda, że z pisaniem swoich poezji, nie zatrzymał się do tego czasu! Dzisiaj bowiem jest zaledwie dobierorymem liczącym na palcach sylaby w trosce o rytm swoich utworów. Trudno zatem wyobrazić sobie większej banalności—jak te proszące o „Zdrowaś Marja" „poezje"—z tak pełnemi wykwintu a wyszukanemi rymami—jak *raj* do *gaj*, moc, noc—i t. d.

Cynizm brutalnej pospolitości duchowej, przyziemnej, pełzającej ubóstwem uczuć i wyobraźni—daje pojęcie jak nie złożoną, jak prostacką istotą jest—jeżeli można tak powiedzieć—twórczość p. Stankiewicza. Odwaga z jaką rzucił swoje „Pieśni Miłosne", wyjaśnianie w specjalnym odsyłaczu—swojej pisowni, dowodzi, że p. Stankiewicz ma jednak tą czarującą pewność siebie, która pozwala robić z duszy pajaca, ku zabawie profanów—lubiących bardziej się śmiać nad szczudłami pretensjonalności *minorum gencium*—poetów z niezaszytemi uszami—niż załamać ręce nad ich losem! Bo niewiadomo jak przyjąć taki poemat jak np. „Fantazję liryczną"—czy jako drwiny z tego co się poezją nazywa, a co nieśmiertelnem swem wzruszeniem napełnia nasze serca w chwili zbliżenia się naszego do natchnienia poety—czy jako dyletanckie wołanie o zaszczyty salonowe—o całusy sentymentalnych pensjonarek, z których sztambucha czerpał pan Stankiewicz—materjał do swoich „Pieśni Miłosnych".

Można mieć jednak nądzieję, że nawet bezmyślność nie znajdzie pokarmu w wierszach p. Stankiewicza. Do tego trzeba zupełnej dezorganizacji myślowej—zupełnego prostactwa duchowego—trzeba być takim—jakim jest autor Pieśni Miłosych kiedy pisze:

„Tęsknotą mi jesteś, tęsknotą co męczy
Co zmorą przychodzi w rozkosznym—ach! śnie".

Brawo poeto z Jasnej Góry! — Jeszcze trochę wpisków—a dorównasz poezjom ks. Baki!

Sł. Kiedrzyński,

Rzeźba współczesna. Jan Kleczyński. (Rodin, Meunier, Vieqeland, Biegas, Dunikowski) str. 63. Warszawa 1909 r.

Musimy z całą szczerością powiedzieć, że młode pokolenie pisarzów polskich wśród siebie nie posiada ani jednego człowieka, metodycznie zajmującego się sztukami plastycznemi. Nowi tak zwani recenzenci od „sztuk plastycznych" w większości wypadków swoje sądy o dziełach sztuki plastycznej opierają na filozoficznie nieskontrolowanych przez siebie „wyczuciach"—przez co z poważną krytyką artystyczną w tym kierunku spotkać się trudno. Po Witkiewiczu, można z całą śmiałością twierdzić, że ani jeden z „krytyków" sztuk plastycznych nie wmyślał się w filozofję sztuki o której sądy wydawał. Przecież nikt serjo nie weźmie takich prac, jak Strzelbickiego o „Żmórce," ani też Potockiego o Wyspiańskim. Jakie takie zaciekawienie wzbudzają extrawagancje p. Jasińskiego, ale te nic wspólnego nie mają z filozofją sztuki.

Książka p. Kleczyńskiego należy do wyjątków pod tym względem. Swiadomość celów wyróżnia ją z całej „makulatury", której treść polega tylko na opowiedzeniu fabuły obrazu lub rzeźby. P. Klecz. sięgnął w rdzeń zagadnienia, gdyż nie chronologja, jak dla innych jest decydującym aktem w grupowaniu zjawisk, ale i sens ich kulturjozoficzny. Od strony wewnętrznej idzie przeto p. Klecz. do twórczości artystów, rozpina nici ich emanacji twórczych na kropkach filozofji dziejów i dopiero w ten sposób ustanawia wartość ich dzieła.

Nie na wszystkie sądy p. Klecz. można się zgodzić, ale nim je obalimy należy przedewszystkiem same założenia jego krytyki przezwyciężyć, gdyż w przeciwnym wypadku będą gołosłowne, czego nie wolno czynić w stosunku do prac tego gatunku, co praca p. Kleczyńskiego. Brak miejsca każe nam zrobić to omówienie, gdyż mimo wszystko, nie chcemy przemilczeć „słabej strony" pracy.

Otóż „słabą stroną" pracy p. K. jest jego hyperuwielbienie dla rzeźb Dunikowskiego. Bezwątpienia istnieją między niemi dzieła nieposlednięj wartości, ale jeżeli się przypomni prace w rodzaju „Dante", to nie można kreować Dunikowskiego na czołowe stanowisko w tym kierunku.

Książka pana Kleczyńskiego mimo wszystko jednak jest arcyciekawą. Wydanie skromne, ale miłe.

Eustachy Czekalski.

Z TEATRU.

Złota czaszka J. Słowackiego i *Sędziowie* St. Wyspiańskiego w Teatrze Letnim.

Uczyniono słusznie, wystawiając w stuletnią rocznicę urodzin poety „Złotą czaszkę", ale nie uczyniono dosyć. Tydzień jubileuszowy należało uczcić urządzeniem cyklu przedstawień dzieł Słowackiego. Powinny były znaleźć w nim miejsce „Mazepa", „Marja Stuart", „Beatrix Cenci", „Balladyna", „Lilla Weneda", „Niepoprawni", a z fragmentów przedewszystkiem „Złota Czaszka". Te wieczory teatralne należało połączyć z konferencjami literackiemi i z recytacją niescenicznych utworów poety.

Tym sposobem można było osiągnąć skupienie, niezbędne dla ujęcia wszystkich odcieni tej sztuki, poczętej z uczucia. Nawiązać mocne nici pomiędzy dziełem a zastępem wykonawców i oplatać niemi słuchacza. Owionąć publiczność atmosferą napięcia duchowego, odurzyć nią jak czystem winem i oddać bezwalną pod władzę natchnień poety.

Publiczności braknie wykształcenia i kultury, ale nie zbywa jej nigdy na wrażliwości. Rozumie niewiele, ale wszystko odczuć potrafi. Jest podatna jak wosk w ręku tego, kto umie ją ująć. Wydaje wyroki często niesprawiedliwe, ale zawsze uzasadnione. Każdy jej sąd jest wyrazem aktualnych potrzeb duchowych ogółu. „Il y a quelqu'un, qui a plus d'esprit que Valtaire—tout le monde".

Przestańmy więc traktować publiczność, jako kozła ofiarnego błędów, popełnianych przez oraczy ugoru (niestety!...) sztuk pięknych. Zapytuję, co uczyniła scena warszawska, aby *wychować* publiczność do rozumienia Słowackiego?... To ona zatruła smak ogółu, odzwyczaiła go od prawdziwej sztuki—teraz zbiera owoce własnego posiewu. Wyrzuca się publiczności zamiłowanie do iluzjonów i do kabaretów. Czyż i ten wyrok nie jest dość jasny dla naszych pieniaczy literackich? Wszak łamańce akrobatów, rytmy taneczne, wesołe kuplety i obrazy kinematograficzne stanowią rozrywkę nawet dla ludzi o wyrobionem poczuciu artystycznem; a słuchanie bezwartościowych sztuk, podanych w lichem wykonaniu, jest męczarnią.

Warszawa nie zna Słowackiego ze sceny. Jedynem dziełem „J. S.", które należy do stałego repertuaru, jest „Mazepa". „Odstawiają" je tam wprawdzie od czasu do czasu—oczywiście „po zniżonych cenach". Budują z zapamiętałą wytrwałością ów mur teatralny, mający odgrodzić biednego Mazepę od świata, od pełni życia, od wybujałej potężnie współczesnej kultury artystycznej.

Wynikiem jest nietylko znieczulenie publiczności na wrażenia teatralne, ale nadewszystko marnowanie talentów aktorskich, które giną z braku powietrza w ciasnem zamknięciu szablonu.

Nic też dziwnego, że „Złota Czaszka" nie wywarła wrażenia. Reżyserja była bardzo staranna, poszczególne role nie były źle wykonane—a jednak całość nie była odtworzeniem dzieła, wypieszczonego na sercu poety. Ażeby oświetlić należycie ten niewyraźny jeszcze kształt wizji znikomej, trzeba zapalić swą łatarkę pielgrzymią przy jarzącem płomieniu uczucia, co pożerało duszę poety. Trzeba go znać już i kochać...

Nie mamy sceny w Warszawie.

A jednak posiadamy ludzi, którzy mogą ją stworzyć i publiczność, która potrafi odczuć ożywcze tchnienie prawdziwej sztuki. Dowodem jest wystawienie „Sędziów".

Idąc na premierę, obawiałem się (tak ulubionej u nas) realistycznej przesady w traktowaniu tej tragedji. Obawiałem się przekrzyczenia djalogów, przejaskrawienia sytuacji. Doznałem miłej niespodzianki. Był nią już sam program. Wszystkie niemal role oddano ludziom młodym w hierarchji teatralnej. Czytałem nazwiska spotykane rzadko i to na miejscach podrzędnych. Próba odmłodzenia sceny — chociażby na chwilę — udała się p. Śliwickiemu wybornie.

W „Sędziach" osiągnięto harmonijną jednolitość wykonania, której brak obrócił w niwecz wysiłki poszczególnych aktorów w „Złotej czaszce".

W oślizgłym pokładzie pospolitych zdarzeń, wydobytym z ohydnej topieli życia, załamują się jasne promienie słońca romantyzmu, drgając wszystkiemi barwami tęczy. Jest tu zmaganie się natur pierwotnych, szarpanych przez dzikie, nieokiełźnane instynkty. A ponad zamętem walk realnych unosi sie „dusza ludzka, samotnica wieczna", najbardziej samotna wobec swego przeznaczenia. Genjalna ręka poety-malarza okoliła złocistą aureolą uduchowienia proste, zgruba nakreślone wizerunki zwykłych, nędznych postaci. I stała się tragedja.

Najtrudniejszem zadaniem dla interpretacji scenicznej jest wierne oddanie podwójnego oblicza „Sędziów": pogodzenie pierwiastku ziemskiego z ujęciem wartości wiecznych. Nadewszystko w postaciach Samuela i Jewdochy. P. Knake-Zawadzki dał typ skończony artystycznie, tylko przedzierzgnął się może nieco zbyt szybko z przemyślnego szachraja w starca, otoczonego majestatem uduchowienia; należałoby stopniowo zaznaczać to przejście, począwszy przynajmniej od chwili ostatniego wejścia Joasa. P. Mirska grała bez zarzutu w gwałtownej scenie z Natanem, ale w djalogu z Dziadem dała się pociągnąć do zbyt kunsztownej deklamacji. Joas p. Trapszo był słodkiem, czystem dzieckiem o duszy artysty — zbrakło mu jednak mocy „Sędziego" w scenie końcowej. Podziwiałem wyborną dykcję p. Hryniewicza w roli Natana, należałoby przyćmić nieco grę oczu, trochę nazbyt konwencjonalną. Dziad (p. Różański)—herold wiecznego sądu—powinien występować bardziej stanowczo, pomimo podeszłego wieku. P. Kawalski, w roli Juklego, stworzył jedną z najlepszych kreacji charakterystycznych naszej sceny. P. Karpowicz potrafił uwydatnić w roli Urlopnika spokój i prostotę, płynące z czystego sumienia.

Nastrój całości wytrzymano konsekwentnie. Zauważyłem tylko, że tempo przyśpieszano w miarę zbliżania się ku końcowi; wydaje mi się to nieusprawiedliwionem: akcja ostatniej części, przeniesiona w dziedzinę pozaziemską, powinna rozwijać się raczej w rytmie zwolnionym.

J. M. Muszkowski.

KRONIKA.

— Urząd warszawski do spraw stowarzyszeń wydał rozporządzenie o zamknięciu Towarzystwa Wpisów Szkolnych. Zadaniem Towarzystwa, jak wiadomo, było pomaganie ubogim uczniom szkół prywatnych przez dostarczanie im wpisów. W tym celu przy każdej szkole istniało „Koło", które gromadziło fundusze na opłatę pewnej liczby wpisów w danej szkole. Założone w 1907 r. Towarzystwo miało 184 Kół, z których 55 przy szkołach warszawskich a 129 przy prowincjonalnych.

— W dniu 2-go września na posiedzeniu komisji do spraw związków i stowarzyszeń przy zarządzie gubernialnym w Warszawie zapadła uchwała, której mocą Towarzystwo

Wpisów Szkolnych wraz ze wszystkiemi jego oddziałami zostało zamknięte.

— Po Azefie, Hartingu — Burcew zdemaskował Zenaidę Żuczenko. Pochodzi ona ze starej rosyjskiej rodziny szlacheckiej i wychowana była w zapatrywaniach monarchicznych. Już we wczesnej młodości poznała w towarzystwie szefa policji, Semjakina, a następnie Zubatowa, wobec których oświadczyła gotowość współdziałania w zwalczaniu ruchu rewolucyjnego. Będąc w uniwersytecie zetknęła się Żuczenko z Rasputinem i całą grupa rewolucjonistów, którzy zajmowali się fabrykacją bomb i knuli spiski. Zenaida była już wówczas urzędową agentką policji politycznej, ale zaznacza, że odgrywała rolę bierną, nie uczestniczyła w prowokacjach, przyjmowała tylko zwierzenia rewolucjonistów, którzy zwracali się do niej jak do przyjaciółki.

Gdy doszła już do tego, że zaczęto fabrykować bomby w jej własnem mieszkaniu. Zenaida zawiadomiła o wszystkiem Zubatowa i wszyscy uczestnicy spisku zostali zaaresztowani. Policja tajna zaproponowała Zenaidzie, żeby uciekła zagranicę — nie przystała na to i pozwoliła się zaaresztować rązem ze wszystkiemi. Ponieważ jednak prokurator wiedział, kim jest Zenaida, a krewni wstawiali się za nią, została skazana tylko na pięć lat zesłania na Kaukaz. Uwolnić jej nie mogli, gdyż znaleziono w skonfiskowanych u rewolucyonistów dokumentach jej przekład przepisu fabrykowania materjałów wybuchowych. Zenaida przetłomaczyła to na żądanie jednego z towarzyszów i przyznała się do tego. Na Kaukazie poznała studenta medycyny i wyszła za niego — on zaś nie miał pojęcia, jakie jest jej zajęcie. Władze pozwoliły jej pojechać z mężem do Dorpatu, tu urodził się ich syn, a wkrótce potem mąż zaczął ją podejrzewać o jakąś tajną działalność i zażądał wyjaśnienia. Zenaida zwróciła się po radę do Zubatowa, ten dał jej pomoc i uciekła do Niemiec.

Przez lat sześć przebywała w Lipsku, oddając się wyłącznie wychowaniu syna, — następnie przeniosła się do Heidelberga, gdzie przebyła $1^1/_2$ r. W 1905 r. wyjechała do Moskwy i tam zdobyła wkrótce wysokie stanowisko w komitecie rewolucyjnym, — „uczestniczyła” również w powstaniu moskiewskiem. — W sierpniu roku zeszłego brała udział w konferencji socjal-rewolucjonistów w Londynie. Stamtąd udała się do Berlina, potem do Moskwy na żądanie rewolucjonistów — i w dalszym ciągu prowadziła podwójną grę. W grudniu dowiedziała się, że Azef został zdemaskowany...

Wkrótce znów się udała za granicę, w marcu przebywała w Berlinie, lato zaś spędziła w Fürstenbergu, w Meklenburgji, następnie wróciła do Berlina.

We wtorek, ubiegłego tygodnia, zjawił się u niej Burcew, którego jeszcze nie znała, powiedział wręcz, że pragnie dowiedzieć się szczegółów jej działalności na usługach policji politycznej i wyznaczył jej schadzkę w kawiarni, na dworcu przy ulicy Friedrichstrasse. Burcew w toku rozmowy namawiał Zenaidę, żeby zdemaskowała działalność policji politycznej, żeby przeszła otwarcie na stronę rewolucyjnego komitetu centralnego, a jeśli tych warunków nie przyjmie, to czeka ją śmierć. Zenaida odmówiła, a jak wyznała współpracownikowi „Berliner Tageblattu,“ już do kawiarni szła z myślą, że zostanie tam zamordowana. Wszelkim wiadomościom o stosunkach swoich z policją niemiecką w Berlinie zaprzecza. Zenaida również zaprzecza stosunkom z rosyjskim agentem policyjnym, albowiem chwilowo — jak zapewnia — policji rosyjskiej w Berlinie niema.

Ostanio, z rozkazu policji berlińskiej, Żuczenko — zmuszona jest w ciągu trzech dni opuścić Berlin.

— *Komentarz do „wyjaśnienia”*. Od korespondenta naszego z Siedlec p. J. M. otrzymujemy co następuje:

Na przesłaną Szan. Redakcji w № 32 t. zw. wyjaśnienie p. E. W., S. N. i H. S., w sprawie korespondencji mej zatył. „Obłąkany duszpasterz i zbłąkane owieczki“ — odpowiem to tylko. Ponieważ sprawcy ohydnego etyczno-kulturalnego skandalu prowincjonalnego kłamliwie usiłują swemu ogromadnemu sponiewieraniu nieszczęsnej ofiary życia nada echę... miłosierdzia. Wbrew temu przesłana jeszcze przezeć mnie Szan. Redakcji lista poważnych świadków zajścia stwierdza, że: 1) medium estetycznej „zabawy“ p. Litwiniak, nie tylko, że nie jadł „zbyt łapczywie“, ale wogóle nic nie jadł, będąc poprzednio przez owych panów „zabawie gwoli“ spojony do nieprzytomności; 2) że pomienieni sprawcy afery *sami* sprowadzili mu do lokalu prostytutkę, wiarogodność tedy korespond. powyższej co do joty — nie ulega wątpliwości.

W sprawie tej Towarzystwo Wpisów Szkolnych rozesłało komunikat treści następującej:

„Komitet Towarzystwa Wpisów Szkolnych podaje niniejszem do wiadomości publicznej, iż w dniu wczorajszym, 2 września r. b., zapadła w urzędzie gubernialnym warszawskim do spraw stowarzyszeń uchwała, na mocy której Towarzystwo Wpisów Szkolnych wraz ze wszystkiemi jego kołami zostało zamknięte. Zarzut postawiony Towarzystwu w odezwie gubernatora, oparty był na przytoczonym swego czasu w „Gazecie Radomskiej“ tekście odezwy Towarzystwa, w której powiedziano, że połowa zebranych funduszów będzie rozdana pomiędzy Koła przy szkołach początkowych, reszta zaś będzie obrócona na szkoły średnie i inne cele Towarzystwa.

Wyrażenie: „na szkoły średnie“ uznano za pogwałcenie ustawy, która nie pozwala Towarzystwu na wspomaganie szkół, lecz tylko biednych uczniów.

Komitet Towarzystwa przedstawił tę sprawę gronu poważnych prawników, którzy uznali, że powyżej przytoczone wyrażenie jest zwrotem stylistycznym, nie stanowiącym bynajmniej dowodu, aby Towarzystwo obracało swe fundusze na subwencyonowanie szkół; z całego tekstu odezwy wynika, że przeciwstawiono w niej rozdział funduszów pomiędzy Koła przy szkołach średnich i początkowych, mając tu i tam na myśli wyłącznie wspomaganie niezamożnych uczniów tych szkół.

Istotnie, Towarzystwo przez cały czas swego istnienia żadnej szkole ani grosza nie wypłaciło, co łatwo według ksiąg da się udowodnić.

Poza tem przy samem wprowadzaniu sprawy na porządek dzienny posiedzenia urzędu do spraw stowarzyszeń popełnione zostały poważne uchybienia formalne, istnieją zatem zasady do skargi kasacyjnej, która zostanie podana do I-go departamentu senatu.

Wobec tego, że władze wprowadzą zapewne swoją decyzyę w całym kraju w niezwłoczne wykonanie, komitet wzywa wszystkich, interesujących się sprawami Towarzystwa, aby spokojnie wyczekali wyniku podanej skargi.

Gdyby wbrew oczekiwaniom, władze wyższe nie uwzględniły skargi komitetu, fundusze zgodnie z § 19 ustawy zostaną przekazane Warszawskiemu Towarzystwu Dobroczynności z warunkiem użycia ich na cele, przewidziane w ustawie Towarzystwa Wpisów Szkolnych.

LIST DO REDAKCJI.

„Towarzystwo Polskiej Młodzieży Postępowej w Gienewie udziela chętnie wszelkich informacji, dotyczących warunków przyjmowania do uniwersytetu i kosztów utrzymania w Gienewie. Adres Towarzystwa: Societé des Etudiants Progressistes Polonais á Genéve Université”.

Łączymy wyrazy prawdziwego szacunku i poważania Za Zarząd *Antoni Kamler*, st. med.
Sekretarz Tow.
3, rue St. Leger, Genéve.

Genewa, 24 sierpnia 1909 r.

Redaktor i wydawca **Władysław Gacki.** Drukarnia Artystyczna K. Kopytowskiego Nowy-Swiat 47.